



Państwowy Uniwersytet Moskiewski im. M. Łomonosowa jest najstarszym i największym w Związku Radzieckim zakładem naukowym. Na zdjęciu: pomnik Łomonosowa przed głównym gmachem Uniwersytetu na Wzgórzach Leninowskich.

Fot. — CAF

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela, 15 V 1955
Rok VI Numer 19

„Egzotyzm” naszych dni

Janusz Likowski

Kiedy wycieczka dziennikarzy francuskich pism — jakby to powiedzieć, co najwyżej „umiarkowanych” — odwiedziła Polskę przed rokiem, jednym z „egzotycznych” dźwięków, który wywołał ich szczególne zainteresowanie, był... listonosz wiejski. Owszem, ciekawość ich, że wczasy robotnicze organizują związki zawodowe i że są one zjawiskiem masowym, lecz listonosz objeżdżający rowerem wsie, rozwożący gazety, listy, kolportujący książki — tego się we Francji nie spotyka. Nie tylko zresztą we Francji. Tam przecież w Polsce, i gazeta — są na ogół przedmiotem, na którym robi się pieniądze.

Wydawcy i jego akcjonariuszom nie opłacałoby się roz-

wieźć książek, płacić kolporterom, drukować bardzo wiele i bardzo tanio. Nam się opłaca. My bowiem, akcjonariusze ludowej władzy, jesteśmy osobliwie zainteresowani w tym, by wszyscy obywatele byli mądrzy, rozszerzali swoje horyzonty myślowe, jak najwięcej wiedzieli o życiu. Jego konfliktach, by uczyli się je rozwiązywać. Naszym zyskiem, jak najbardziej szlachetnie pojętym, jest społeczne doświadczenie płynące z kartek książek i szpalit gazet.

Czasem zresztą zastanawiam się nad cenami wielu w dawnictwie i myśle, dość dziwnie — powiecie, że u nas w Polsce Ludowej książki są... za tanie. Rzeczywiście. Gdy

przejrzał indeks cen wydawnictw dziełowych i periodycznych — Polska znajduje się w czołówce nie tylko etapowej, a więc w jakimś odcinku rocznym, lecz i w klasyfikacji zespolowej, od kilku dobrych lat.

Tania książka, spekuluję w myślach, nie wywołuje należytego szacunku; niska cena pozwala ją zaniedbywać, nie przeżywać chwil wzruszenia, gdy się ją bierze do rąk lub zamyka ostatnią stronicę. Odzywa się jednak drugi głos, ten przeważający szale: trzeba dać ludziom do ręki wiedzę, by płynęła nie wątlą strumy, lecz wśród pojedynczych krzyków róż, lecz szeroka, wezbrała rzeka między rozległymi, kwiecistymi łąkami. Nie dla elity, garsteczki „oświeconych”, nie dla jednostek biją rotacyjne maszyny drukowane słowo, w które zakłóto literaturę. Poeci kultury strzelają dziś do każdego obywatela. W końcu trafią do wszystkich. A celem nie jest ileś tam tysięcy czy milionów franków, dolarów czy funtów, które zarobi wydawca i jego wspólnicy. Naszym pragnieniem jest pomóc ludziom żyć, uczynić im dzień przyjemniejszym, pełniejszym. I dlatego właśnie jeżdżą od zagrody do zagrody, nieznani we Francji — wiejscy listonosze, tak „egzotyczni” dla dziennikarzy z mieszczańskich pism „umiarkowanych”.

Nam zresztą tej codziennej pracy propagandowej na rzecz czytelnictwa książek i gazet jest mało. Chcemy rozruszać życie kulturalne w skali masowej, by toczyło się szybko i obrotami. Stąd umówiliśmy się, że co roku urządzamy „dni oświaty, książki i prasy”. Jest to jakby wielki barwny kermasz, który by zdumiał większość statecznych obywateli miast nad Renem, Sekwaną, Loarą i Tamizą. Niekiedy z nich potrafią się w czasie karnawału lub winobrania wesoło bawić na ulicach, lecz żeby przedmiotem zainteresowania była... książka? I żeby tylko ona ścigała publiczność? Żeby kioski z najnowszymi wydawnictwami znajdowały się na każdej niemal ulicy? Na to się żaden parlamentarny rząd zachodnich demokracji nie zdołał, ani żadna rada miejska. „Corso” literatury w Polsce Ludowej jest jedną w swoim rodzaju imprezą. „Egzotykiem”. To pewnie.

Ale z tego wszystkiego pisać nie jeszcze jedna, może o wiele piękniejsza prawda. Nasz ustrój pragnie jak najwięcej ludzi mądrych. Chce, by obywatele się kształcili, poznawali świat i ludzi. Pomaga mu książka. Różnymi formami szkolenia — zamkniętego i otwartego; zawodowego i ogólnego. Można nawet śmiało zarzykować twierdzenie, że kto w ciągu dziesięciu ubiegłych lat się nie uczył — zaprzepścił szansę młodości. Przekreślił ją lekkomyślnie. Sięgaliśmy przecież do ludzi zapomnianych, czasem z wielkim trudem ciągnęliśmy do abecadła niezawinionych analfabetów, ludzi pokrzywdzonych przez dawny świat. Zapalaliśmy przy nich, to można powiedzieć bez cienia patosu, kaganiec oświaty. Unosił się go wysoko, by dawał sercom drogowskaz i wielu wyprowadził z ciemności niewiedzy, jak gwiazda polarna blyszcząca na niebie — zbłąkanych podróżników. Można to wielkie słowa, lecz nawet i one nie na miarę tego, co już w naszej ojczyźnie zrobiono. A to staranie płynie także z przekonania organizatorów życia narodu — partii, że człowiek światły, mądry, musi stać się nie tylko zwoleńnikiem, lecz budowniczym ustroju socjalistycznego, czuć się osobiście zaangażowanym w jego sukcesach, zwycięstwach.

HISTORIA wcale nie muzyczna

Wbrew tytułowi będzie-my musieli trochę porozmawiać o muzyce. Nie w ogóle, lecz konkretnie — o marszach wojskowych.

Dyrygenci z Oceanu pragną, aby we Francji dźwięczniały marsze nie we francuskiej, lecz w adenauerowskiej transkrypcji i instrumentacji. Aby na ulicach Paryża, Marsylii, Strassburga grzmiły zachodnio-niemieckie bębny, litauy, trąby, no, i amerykańskie piszczałki, przy których dźwiękach tak chętnie tańczą niektórzy politycy francuscy.

Podsumowując wyniki swej działalności za 1954 r., władze bońskie wykryły poważne niedociągnięcia: ludność zachodnio-niemiecka nie została w dostatecznym stopniu zaopatrzona w marsze wojskowe. Toteż adenauerowcy postawili przed sobą zadanie — w nowym roku zapewnić każdej łaknącej odwetu duszy hitlerowca co najmniej po dwa marsze.

To nie dowcip.

Korespondent Agencji Reutersa przekazał z Bonn następującą wiadomość:

Jak oświadczyli dziś przedstawiciele ministerstwa wojny, orkiestry wojskowe nowej armii zachodnio-niemieckiej grać będą wszystkie te marsze starego Wehrmachtu, których... „nie nadużywali” hitlerowcy.

Rzecz oczywista, że o hitlerowcach wspomniano tylko dla zamydlenia oczu.

W depeszy tej czytamy dalej: „Do ministerstwa wojny napływa codziennie około pół tuzina nowych marszów stworzonych przez młodych kompozytorów”.

W tym właśnie miejscu rozpoczyna się historia wcale nie muzyczna.

Wśród poszukiwaczy złota w Kalifornii krążyła niegdyś legenda o przedziwnym echu, które można było kupić i sprzedać. Głosiła ona, że pewien miłośnik przygód dotarł podczas swej wędrówki do miejsca, z którego widoczna była wysoka góra. Do góry tej było tak daleko, że głos biegł do niej i powracał jako echo dopiero po 6 godzinach. Tak więc, aby nie zaspać, wystarczało tylko krzyknąć przed snem: „Czas wstawać!”, a echo budziło cię w odpowiednim czasie.

Jankesi mają obecnie w Bonn równie usłuszne echo. Wystarczyło krzyknąć na Wall Street „Czas zbroić się!”, aby w Bonn nie po 6 godzinach, lecz znacznie szybciej zaczęto pobrząkiwać szabelką. Równocześnie zaczęły ćwiczyć orkiestry wojskowe, a młodzi kompozytorzy — sypać utworami zaczerpniętymi ze starej hitlerowskiej kolecy muzyki.

Nie jest to muzyka bez słów. Do jakich więc tekstów pisze się tę muzykę?

Oto np. w bońskim Bundestagu wystąpiło w roli echa z Oceanu kilku opętanych naśladawców szalonego „führera”. Deputowany Jeger cytował z trybuny „złote myśli” Hitlera i nawoływał do wyprawy wojennej przeciwko miłującemu pokój państwu. Dał przy tym wcale niedwuznacznie do zrozumienia, że układy paryskie należy interpretować jako „określną drogę” do zagarnięcia całej Europy.

Reasumując — dawny krok marszowy, dawne marsze wojskowe i dawną marszrutę — zarówno na zachód Europy, jak i na wschód. Jak wiadomo marsze wojskowe dzielą się na ceremonialne, szybkie i błyskawiczne (podczas ataku). Zupełnie specyficzny charakter ma, oczywiście, marsz żałobny.

Doświadczenie ostatniej wojny uczy, że wszystkie marsze — ceremonialne, szybkie i błyskawiczne — przekształcały się dla hitlerowców w jeden długi marsz żałobny.

Powinny o tym pamiętać w nowym roku orkiestry adenauerowskie.

SŁOWO — KTÓRE BUDZIŁO SUMIENIE NARODU

St. Rymarz

odczuwamy i rozumiemy dzieło Schillera?

Filozofia — i Poeta

Wbrew utartemu zwyczajowi pominiemy opis kolejnych Poety, choćby z tego względu, że tylko w słabym stopniu pomagają one wyjaśnić samo dzieło. Skoro już wszakże o tym mowa, zaznaczmy tylko, że jakieś wyrażenie piętno na twórczości Schillera wycisnęły dwa momenty z dziedziny spraw prywatnych: ciężka, wieloletnia choroba (gruźlica) oraz niejako równoważące ją, niezwykle szczęśliwe i harmonijne życie z żoną Charlottą.

Zasadniczym bodźcem do pisania, tym, co poruszało uczucia i wyobraźnię Poety, była obserwacja życia narodowego i stosunków międzyludzkich, zaduma i głębokie przemyślenia nad dziejami Niemiec i

miejszem jednostki w narodzie. Kraj był w tym czasie rozdarty na trzysta księstewek, a każde z nich od wewnątrz lupili dynastyczni możnowładcy. Schiller, w ciągu 8 lat świadek życia dworu książęcego w Wirtembergii, panującej tam ciemnoty umysłowej, prywaty i terroru moralnego — nabrzmiewa powoli, lecz nieprzerwanie wielkim sprzeciwem. I gwałtowny jego wybuch następuje niekwestionowanie — na kartach pierwszych książek. Jak daleko odbiegają one od elegancji, gładkich i treściwo pustych wierszowanych układanek!

„Tak się zwykłe dzieła, że czulem się poeta, gdy zaczynałem filozofować, duch zaś filozofii zjawiał się we mnie z chwilą, gdy przystępowałem do pisania wierszy” (tłum. St. R.).

Te dwa prądy krzyżują się i stapiają w jedno niemal w każdym utworze Schillera. Stąd też zapewne bierze się siła dramatyczna jego czołowych dzieł scenicznych. Zetknięcie napiętej myśli i napiętego uczucia — daje w efekcie właśnie ową iskrę zapalającą...

Współcześni odczuli prawdę

Oto, co pisze jeden ze współczesnych o premierze „Zbójców” w teatrze w Mannheim (1782 r.): „Teatr szalał — rozgorączkowane oczy, zaczerwienione twarze, tupot nóg, ochryple od krzyku głosy na widowni, nieznanymi sobie ze łzami w oczach padali sobie w objęcia”.

Na równi z Goethem Schiller stał się wykładnikiem sumienia najlepszych ludzi epoki. Dane mu było za życia otrzymał dowody niezwykłej miłości i czci — ze strony tysięcy rodaków. Tym dwu geniuszom zawdzięczać możemy, że Niemcy swe oczyszczenie z gnuśności ducha, wskazanie miejsc porażonych cho-

nie nowych uniwersytetów i instytutów, powołanie do życia pierwszego moskiewskiego teatru, Akademii Sztuk Pięknych, założenie pierwszego gimnazjum w Kazaniu, przekształconego na stopień na uniwersytet itd.

W Uniwersytecie Moskiewskim uczyli się tacy koryfeusze nauki i literatury, jak: Fonwizyn, Gribojedow, Lermontow, Gołoczarow, A. Ostrowski, Turgeniew, Cechow, wielcy rewolucyjni demokraci: Hercen, Ogariow i Biełski, wielki uczyony Timirazew i wielu, wielu innych.

H. B.

Przed 200 laty, gdy otwierano pierwszy uniwersytet w Rosji — jego założyciel — Łomonosow w mowie powitalnej mówił o tych czasach, gdy „nadejdzie złoty wiek dla rosyjskiej nauki”. Marzenia te ziściła władza radziecka.

RYSZARD DANECKI

Z okien Uniwersytetu Moskiewskiego

Stąd widać, jak rzeki niebieska petla,
niby kredeką zrobiona linia nika,
obwodzi w dole Moskwę,
a wyżej, jeżeli wejść o dwa piętra —
z lewej błyszczy Szosa Warszawskiej nitka,
wybielona przymrozkiem.

i zdaje się — można Pałac Kultury,
jeśli tylko silnie na palce wspiąć się,
ujrzeć na końcu szosy:
majać ją iglicy ciemne kontury —
za dwie godziny błysnie w słońcu płaszc...
A w Moskwie — już blask zorzy!



robą, określenie nowych ideałów. Położył na to właśnie nie dawno nacisk premier NRD Otto Grotewohl w swym wielkim, poświęconym Schillerowi przemówieniu do młodzieży:

„...walczył nie tylko z własną chorobą, biedą, przeciwko tyranii i tyranom. Walczył też całą potęgą swego słowa poetyckiego przeciwko obojętności ducha i serca swoich współczesnych, a przede wszystkim — swoich ziomków...” (tłum. St. R.).

Oto właśnie ów współczesnik, dzięki któremu tragedie, ballady i poematy Schillera stają się wyznaniem wiary nowej epoki: im więcej utworów zawierała ładunku protestu, treści dziejowej, polemiki filozoficznej — tym pełniej rozkwita w nich talent pisarza. (Warto dodać, na marginesie, że większość porażek literackich pochodzi właśnie z niemożności połączenia tych dwóch elementów).

Obywatel rewolucji francuskiej

Jak wiele dzieł prawdziwie narodowych, organicznie wyrażających ze swojego czasu, twórczość Schillera rymie, przekroczyła granice Niemiec, osiągnęła rangę ogólnoswiatową. W słowach Attinghausa: „Wilhelma Tellinga”: „Seid einig!” (Zjednoczcie się!) walczące o swe prawa warstwy społeczne i różne narody odczytywały aktualnie dla siebie znaczenie — jakkolwiek rzucając swe wezwanie. Poeta kierował je przede wszystkim do swych rodaków.

Największy honor, jako pisarza, przypadł w udziale Schillerowi po obaleniu dynastii Burbonów. Lud francuski nadał mu tytuł honorowego obywatela Republiki, albowiem „mężowie, którzy swymi pismami, swą odwagą... przyczyniali się do wyzwolenia ludów, nie mogą być uważani za cudzoziemców przez naród, oswobodzony dzięki ich światłemu umysłowi i męstwu”.

Pełna śpiew i gwałtownych (Ciąg dalszy na str. 2)



Gdzie stał dom gościnny? Adama Mickiewicza w Poznaniu?

J. Maciejewski

tach czterdziestych — parcela ta otrzymała numer kolejny „3“ ulicy Wilhelmowskiej — dzisiaj aleje Marcinkowskiego 3. Hotel postawiony został na terenie dawnego ogrodu strzeleckiego, w którym od XVII wieku odbywały się zawody strzeleckie bractwa kurkowego. W tych dawnych czasach ogród leżał naturalnie poza murami miasta na granicy dwóch przedmieść północno-zachodnich Poznania: Glinek i Kundorfu. Został przez bractwo sprzedany w roku 1796 i dostał się w roku 1799 w posiadanie Franciszka Kramarkiewicza, rybaka i jego żony Katarzyny z Czechowiczów, córki właściciela jednej ze stojących w rynku budki śledziowych. Ów Franciszek Kramarkiewicz, w następnych latach wybudował na skrzyżowaniu dwóch nowowytoczonych przez administrację pruską głównych ulic tzw. „Nowego miasta“ — Wilhelmowskiej i Fryderykowskiej, dom nazwany „Hotel de Berlin“. Synem Franciszka i Katarzyny Kramarkiewiczów był Kasper Kramarkiewicz — wykształcony w Warszawie prawnik i później radny miejski, gospodarz Mickiewicza z lat 1831 i 1832.

Budynek znajdował się w posiadaniu Kramarkiewiczów aż do lat siedemdziesiątych. Później właścicielami byli C. Grätz i W. Kamiński, który w roku 1888/89 rozebrał dawny budynek, aby postawić na jego miejscu kilkupiętrową kamienicę czynszową. Ta z kolei uległa zniszczeniu w czasie oblężenia Poznania w roku 1945. Obecnie na tym terenie rozpoczynają się roboty budowlane nowego osiedla mieszkaniowego. Z gmachu, w którym mieszkał Mickiewicz, pozostały jedynie resztki fundamentów oraz zarysy spadzistego dachu pozostawione na murach sąsiedniej kamienicy, która powstać musiała przed rozebraniem „Hotelu Berlińskiego“.

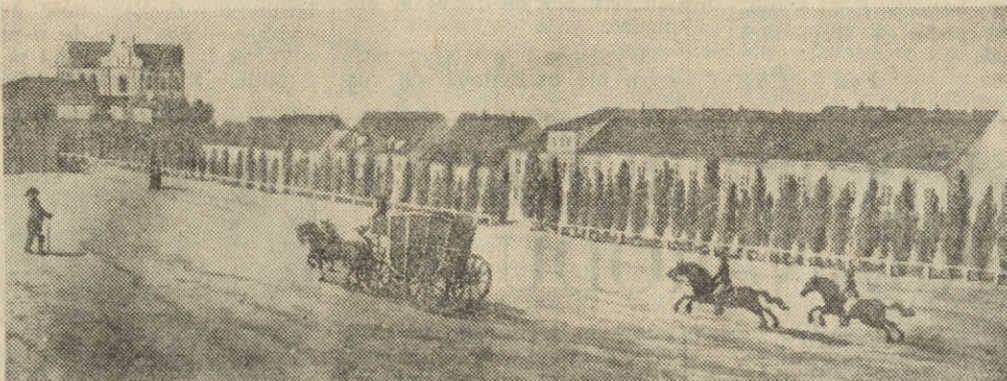
Urbanistyka sprzed wieku

Dostawnie tylko zarysy, gdyż nie zachowała się żadna podobna tego budynku na starzych rysunkach czy fotografiach z poprzedniego wieku. Motywy określa ten budynek jednym słowem „skromny“, a gdzie indziej daje do zrozumienia, że był jednopiętrowy. O owej jednopiętrowości, czy nawet parterowości mówi także ów zarys dachu pozostawiony na kamienicy sąsiedniej. Dom położony był nad przepływającą poza nim rzeczką Bogdaną, która w ogrodzie oraz na sąsiednim placu Sapiieżńskim (obecnie Wielkopolskim), tworzyła wtedy dwa stawy. Pierwszy właściciel hotelu — rybak Franciszek wykorystawszy staw jako magazyn ryb, drugi skorzystał ze stałej bieżącej wody i urządził w swym hotelu platne kąpiele dla mieszkańców miasta — jak informują gazety współczesne pobytowi Mickiewicza w Poznaniu. Ulica biegła wtedy na niższym poziomie niż obecnie po skanalizowanym Bogdanki i zasypany staw ków. Stąd też nisko, w stosunku do dzisiejszego poziomu, widoczny ów zarys dachu. Jak ten budynek wyglądał, można

sobie wyobrazić na podstawie ryciny przedstawiającej ówczesną ulicę Wilhelmowską. Ulica ta w intencji władz miała być reprezentacyjną, spacerową ulicą Poznania — berlińską „Unter den Linden“ w miniaturze. Wytyczono ją o wiele szerszą niż uliczki starego miasta, wysadzono czterema rzędami drzew (topoli i kasztanów) i polecono zabudować budynkami odpowiednimi dla tej reprezentacyjnej arterii. Rząd dbał o to, aby fasady wszystkich domów były ujednoliconie według zasad „surowej symetrii“. Były to budynki przeważnie dwukondygnacyjne, kryte dachówkami o otynkowanych na białe ścianach i dość dużych, prostokątnych oknach. O wyglądzie domu, w którym mieszkał Mickiewicz, daje wyobrażenie załączony tu rysunek K. Albertiego z r. 1800. Hotel Berliński musiał wyglądać jak ktoś-

ryś z budynków po lewej stronie owej ryciny, bliżej zarysowanej sylwetki Kościoła O. O. Karmelitów.

Nie od rzeczy jest dzisiaj przypomnienie tego budynku. Uroczystości mickiewiczowskie w naszym województwie mają w swoim programie m. in. wmurowanie tablic pamiątkowych w budynki, w których przebywał Mickiewicz. Dobrze by było, aby stolica Wielkopolski także posiadała tablicę upamiętniającą miejsce, na którym stał gmach goszczący przed stu dwudziestu pięciu laty Mickiewicza. Wmurowana ona być może w ścianę domu, który zostanie wybudowany w tym pamiętnym a zapomnianym miejscu. Propozycję tę należałoby chyba rozpatrzyć przy montowaniu programu uroczystości mickiewiczowskich w naszym mie-



Tak wyglądały aleje Marcinkowskiego około 1800 roku. Zaznaczyć jednak wypada, że autor obrazu trochę upiększył „ulicę“. W każdym razie kamieniczki wyglądały, jak na rycinie. Jedną z nich mieściła „Hotel Berliński“.

Wśród nowych książek

Wielki uczony i wielki obywatel

Czy szerszy ogół naszego społeczeństwa wie coś o Jędrzeju Śniadeckim? Bardzo mało, a najczęściej nic. A warto wiedzieć, że był to uczony i myśliciel na wielką skalę, wszechstronny umysł, który w uprawianych przez siebie gałęziach nauki często wybiegał poza ówczesny ich poziom, człowiek postępowy, który — choć sam szlacheckiego pochodzenia — powiedział: „Ci, którzy mówią o naukach jako o rzeczach dla małej liczby ludzi przystępnych, bluźnią przeciw jasności i prostocie prawdy“.

Jędrzej Śniadecki był chemikiem, biologiem, lekarzem i publicystą. Kiedy Śniadecki obejmował katedrę chemii w Wilnie, nauka ta w Polsce jeszcze prawie nie istniała. Uczony Aleksander Chodkiewicz w 1816 r. napisał: „Prawdziwa epoka upowszechnienia u nas chemii na zasadach Lavoisiera opartej poczyniła się istotnie od utworzenia jej katedry w Uniwersytecie Wileńskim. Śniadecki naówczas jak drugi Prometeusz przyniósł naszej krainie naukę nową i jej ważność ukazał“. Jędrzej Śniadecki napisał pierwszy oryginalny polski podręcznik chemii. Wykłady Śniadeckiego ścigały tłumy słuchaczy, do czego nienależnie przyczynił się fakt, że rozpoznał wykłady w języku pol-

skim, co było wtedy krokiem bardzo śmiałym. Uczony ten zrozumiał, jak wielkie znaczenie w nauce mają doświadczenia: „Cokolwiek się zaś na lekcjach powie, to wszystko doświadczenia w przytomności słuchaczy czynione objaśnia i potwierdza“ — obiecywał program jego wykładów. Jędrzej Śniadecki wreszcie stworzył polską nomenklaturę chemiczną.

Światopogląd Śniadeckiego — biologa, sformułowany w jego podstawowym dziele — które zapewniło mu pamięć u potomności — zatytułowanym „Teoryja jestestw organicznych“ — był jak na owe czasy bardzo śmiały. Postawił on w dziele swym biologię na gruncie zupełnie nowatorskim, który dopiero dziś stał się najmocniejszą podstawą biologii.

Założeniem wszystkich rozważań Śniadeckiego jest zasadniczo identyczny skład chemiczny materiału, z którego zbudowana jest przyroda martwa i istoty żywe. Śniadecki był pierwszym, który dostrzegł nie wiążącą w jedną całość wszystkie formy życia ze sobą i z martwym otoczeniem. Był pierwszym, który nakreślił całkowicie, syntetyczny obraz świata żywego. Doniosłość jego koncepcji możemy ocenić dopiero dziś — w świetle najnowszych osiągnięć nauki.

Zdumiewająca jest nowoczesność poglądów Śniadeckiego. Zdaniem jego najbardziej istotną cechą wyróżniającą człowieka od innych istot żyjących jest system nerwowy, różniący zwierzęta od roślin, a osiągnięty u człowieka najwyższy stopień organizacji. To, co zdaniem Śniadeckiego stworzyło człowieka w naszym rozumieniu i wyróżniło go od zwierząt, to życie społeczne.

Śniadecki był pierwszym, który oparł jednolity obraz przyrody na realnej, konkretnej więzi, wytworzonej przez krążenie pierwiastków chemicznych w przyrodzie. Dla nas jednostką przyrody i dialektyczny związek zachodzący między żywymi organizmami a środowiskiem zewnętrznym jest czymś oczywistym, co potwierdziła nauka mieczurinowska, ale ogół współczesnych Śniadeckiemu naukowców nie dorósł do oceny trafności jego poglądów.

Podstawowym wykształceniem Śniadeckiego była medycyna i — mimo, że tak inten-

List z Warszawy

Artyści wołają o realizatorów

W miarę jak mijamy, jedna za drugą, sale wystawowe „Zachęty“, zjawia się w naszych myślach coraz więcej znaków zapytania, których, po zastanowieniu, nie umiemy skwitować żadną odpowiedzią.

W porównaniu z tym, co oglądamy co dzień w witrynach i na słupach ogłoszeniowych, ekspozycje „Zachęty“ — w założeniu swym przeznaczone przecież do szerokiego rozpowszechnienia — zaskakują swą oryginalną formą, wysokim poziomem wykonania.

Część z nich, oczywiście, była publikowana; natomiast większość, właśnie rzeczy najbardziej udane, ktoś — zapewne jakieś anonimowe kolegium — sprytnie ukrywał dotychczas przed oczyma szerokich rzesz odbiorców.

— Dlaczego tak się dzieje? — pytamy wielkim głosem wysokie instancje Ministerstwa Kultury.

Nie tylko względy estetyczne

Ograniczmy jednak tym razem tzw. akcenty krytyki, bo sama wystawa daje powód do radości i dużej satysfakcji. Okazuje się, że mamy świetnych młodych plastyków, którzy specjalizują się np. w projektowaniu opakowań dla sklepów detalicznych — i to począwszy od branży kosmetycznej, poprzez słodycze i różne artykuły spożywcze, skończywszy na wyrobach metalowych, tekstyliach itp. Bardzo proste i chyba niedrogie w produkcji są te wzorki, rzutki, kombinacje plastyczne i płam kolorowych, symboliczne scenki i fragmenty przedmiotów-towarów, utrwalone na skrawkach zwykłego papieru pakunkowego. Na każdą okazję, dla każdej grupy towarów — odpowiedni ozdóbki, względnie mała kompozycja.

Można by to wprowadzić w życie niewielkim kosztem — po prostu zmienić obecne brzydkie szablonowe na te ładne, wystawy — a ileż zadowolenia przyniosłaby taka zmiana klientowi, jak dalece — mówiąc już językiem praktycznym — zwiększyłaby ona obroty naszego handlu.

A jednak można

Mówimy o projektach przeznaczonych na rynek wewnętrzny, bo niezależnie od nich, o bok, w gablotach, znajdują się inne wspaniałe reklamy naszego handlu zagranicznego, gdzie wykorzystano wszelkie arka nowocześniejszej techniki graficznej... Metalexport, Animex, Varimex — pokazane w błyskotliwych skrótach graficznych; rozmach wyobraźni artysty idzie tu w parze z niezwykłą czystością roboty, precyzyjnym wypracowaniem szczegółów.

Idziemy dalej. Oto znowu konkretne dowody, że potrafimy zdobyć się na łagodne, proste w konstrukcji zabawki i lamigłówniki, pomysłowe klocki i gry, ćwiczące inteligencję i zmysł estetyczny dziecka.

A w sklepach? Lepiej nie schodzimy na ziemię...

Znany ilustrator Konstanty Sopoćko prezentuje serię barwnych pocztówek pt. „Stara i nowa lokomocja“. Inni jego koledzy-graficy również opracowali artystyczne, wielce pomysłowe winyety i ilustracje dla kart pocztowych. Wszystko to, jak również oryginalne projekty exlibrisów (byłaby to gratka dla miłośników książek), nadaje się bez wątpienia do szybkiej realizacji. Posunięcie tego rodzaju stałoby się radykalnym ciosem w pacykarzy i tandeciarzy, którzy pracują beczkarnie właśnie tutaj, na pograniczu sztuki i rzemiosła.

Brydż... po polsku

Zwracają wreszcie uwagę projekty kart do gry o motywach ludowych i historycznych — polskich. Warto by doprawdy zastąpić — pobawione wyrazu, kosmopolityczne wizerunki królów, dam i waletów — czymś, co ma związek z ziemią, na której... uprawiamy brydża i kładziemy pasjanse. Zwłaszcza, jeśli karty są piękne, radujące oko.

O drugiej części wystawy już tylko kilka słów. Zgromadzone tam najwybitniejsze osiągnięcia naszej ilustracji książkowej: niestety, to co najlepsze również nie ujrzało dotychczas światła dziennego. Mowa przede wszystkim o rysunkach Marii Berezowskiej do dzieł Reja, niektórych pracach Barbary Jonscher i Tomasza Gleba, znakomitych drzeworytach Janiny Konarskiej do dramatów Szekspira oraz o zaskakujących studiach Mariana Bogusza na temat utworów poetyckich Rimbauda.

Dział trzeci, retrospektywny przegląd plakatu polskiego, jest w swoim założeniu słuszny i celowy, ale ogromną większość tych rzeczy znamy już z reprodukcji, rozlepianych na ulicy.

FRANCISZEK DEKERT

Szczegóły powstania „Hotelu Berlińskiego“

W latach 1831 i 1832 „Hotel Berliński“ stał przy północno-wschodnim narożniku ulicy Wilhelmowskiej i Fryderykowskiej (dzisiaj alei Marcinkowskiego i 23 Lutego). Zbudowany został w pierwszym lub drugim dziesięcioleciu wieku XIX i otrzymał numer hipoteczny 165. Później — już w la-

Słowo — które budziło sumienie narodu

(Dokończenie ze str. 1)

konfliktów struktura dramatów Schillera wynika zawsze z najistotniejszych założeń moralno-ideowych, jakie autor pragnie rozwinąć przed swym czytelnikiem. W „Wallensteinie“ widzimy człowieka o rozdartym sumieniu, znakomitego przywódcę — zjednoczyciela z okresu wojny trzydziestoletniej (XVII w.), którego niepołamowana ambicja osobista doprowadza do paktowania z wrogiem. „Dziwica Opleńska“ jest hymnem na cześć wierności i ojczyźnie i ludowi: Joannia zмага się nie tylko z nieprzyjacielem, ale i z własną namiętnością, która stoi na przeszkodzie w realizacji wielkiej idei.

„Burze charakterów“

Utwory Schillera, przy całym swoim napięciu emocjonalnym, stanowią prawdziwe

„burze charakterów“, zachowały przecież zawsze klasyczną czystość formy i języka. W późniejszym okresie życia Poeta wchodził nawet w krag koncepcji sztuki, wedle której samo „czyste“ piękno zdolne jest przekształcić człowieka. Ale i wtedy wielkie, humanistyczne wartości jego dzieł biorą — w praktyce — górę nad teoriami estetycznymi.

Zapewne, w naszych oczach dramaty Schillera straciły część swego pierwotnego blasku i ognia. To, co było kostiumem, patosem gestu, nie zawsze potrafi w nas już wywołać wzruszenia. Niemniej jednak samo jądro treściowe tych dramatów pozostało żywotne prawie tak jak sto lat temu. Szczególnie w dzisiejszym układzie politycznym — słowa i sytuacje z Schillera ponownie przemawiają świeżo i sugestywnie.

STEFAN RYMARZ

Chin-you czyli historia o złotych rybkach

kaniec Chin — względnie prawie każdy — posiada około XVI wieku przynajmniej jedną taką rybkę. Uchodzi ona za narodowy symbol szczęścia, jest swego rodzaju fetyszem chińskim.

Historia hodowli przedziwnych rybek zna szereg rozmaitych odmian, a literatura chińska przytacza na ich określenie tysiące nazw: złote guziki, ogniste czapki, diamentowe pieczęcie, karminowe wargi, oczy smoka, lwia głowa itp. Szereg jest cech i szczegółów, zarówno w budowie, w ubarwieniu, jak i w sposobie pływania, które składają się na całą gamę nazw tych oszałamiająco pięknych rybek. Istnieją odmiany, posiadające czerwony, granatowy albo śnieżno-biały pyszczek, drugie jeszcze każdą część tułowia obnoszą w innej barwie szacie, wreszcie jeszcze inne są wykropkowane kolorem złota, bądź srebra, niesymetrycznymi plamami albo paskami. Poeci opiewają w poematach „Opadający kwiat”, „Pył złości” bądź „Rozchylony kwiat lotosu” uosabiając w owych nazwach całe piękno ryb. Jest pewna odmiana, największej kosztowna ze wszystkich, której urzekająco jasny tułów wyróżnia się „ośmioma ziarnkami nasion melona”.

Upodobania Madame de Pompadour

W Europie ukazały się pierwsze okazy rybek złotych w wieku XVIII. Przywieźli je ze sobą portugalscy, holenderscy, a może również i angielscy marynarzy. Wiadomo, że Madame de Pompadour była entuzjastką ich wielbicielką oraz propagatorką owych pięknych luskowatych stworzeń. Wkrótce przywieziono złote rybki do Ameryki, gdzie zdobyły sobie taką samą popularność, jak w Europie. Niemniej jednak, żadni hodowcy, gdziekolwiek tylko oni się znajdują, nie są w stanie dorównać zręcznością, pomysłowością i cierpliwością hodowcom chińskim. Jedynie w

Chinach hodowla złotych rybek nie tylko ozdoba naszych mieszkań, lecz symbolizują również spokojne i harmonijne współżycie w kręgu rodzinnym.

Symbol „cnoty pokoju”

Chin-you — czerwona rybka, jest symbolem wielu cnót i stąd dobrze i pięknie pojętej tolerancji. Uosabia ona spokojne i uczciwe życie — stąd również „cnotę pokoju”. Oznacza ona zamożność i dostatek. Dlatego obdarowanie kogoś złotą rybką uważa się za akt dobrej woli i czci. Jest ona wreszcie symbolem miłości. „Pewnego pięknego wieczoru poszedłem nad staw ze złotymi rybkami, aby spotkać się z ukochaną...” — pisał wielki poeta chiński Tan Yuan-li.

Ogromna jest liczba miłośników ryb akwaryjnych w naszym kraju. W wielu domach znajdujemy pięknie utrzymane naczynia szklane, w których żyją i radują oczy domowników bajecznie kolorowe rybki, pływające wśród roślinności wodnej. I trudno nie zgodzić się z cnotami, które przypisuje im wielowiekowa kultura i mądrość chińska: są one bo-

FILM

Pod znakiem nadziei

Nie znam powieści Pomianowskiego „Koniec i początek”, według której przysięgłoby scenariusz do filmu „Godzin nadziei”. Po obejrzeniu „Godzin nadziei” byłem zadowolony, że nie muszę sięgać po książkę. Nie dlatego, że nie ciekawa. Z pewnością ciekawa. Zadowolone plynęło z faktu, że film Rybkowski nie wymaga konfrontacji ze swym powieściowym pierwowzorem. Kiedyś przeczytałem o jakimś filmie zdanie, że „jego duża zaleta jest to, iż zachęca widza do przeczytania książki”. Doszedłem do wniosku, że tego rodzaju „zaleta” świadczy dobrze o powieści, źle o fil-

mie. Żle, gdyż widocznie nie jest on dziełem pełnym, samodzielnym, samowystarczalnym. Z radością komunikuję, że film Rybkowski nie zachęca do przeczytania książki. Widzimy rzecz ciekawą, o dobrym scenariuszu i robocie reżyserskiej, rzecz pozbawioną uproszczeń i schematów, słowem film, pozwalający mieć nadzieję na coraz lepsze produkty naszej kinematografii.

Akcja „Godzin” rozgrywa się w jednym dniu, dosłownie w ciągu kilku godzin. Do jednego czasu dochodzi jedno miejsce — akcja dzieje się wyłącznie niemal w małym miasteczku. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu te zagęszczenia sytuacyjne przyczyniają się do wartości filmu; faktem jest, że scenarzysta potrafił zamknąć w „Godzinach” kilka dramatycznych, niebanalnych konfliktów, a reżyser — pokazać je tak, że wydarzenia śledzimy z prawdziwym zainteresowaniem. Wielka zaleta, kondensacja; ta cecha film Pomianowskiego i Rybkowskiego korzystnie wyróżnia się z szeregu swych poprzedników. Aż dziwne — film nie ma dłużyzn. Rybkowski opowiada niezwykle lapidarnie — i niegłęboko, wszystko co się zaczęło jest ważne, wszystkie pierwszoplanowe i dalsze sprawy — znajdują swój epilog. Znajdujemy tutaj jeszcze jeden dowód, że film wielowątkowy nie musi być nudny — i że taki film potrafi nakreślić nie tylko Włosi.

Oto przykład; drobnutki wątek dziewczyny i chłopca z harmonijką — wątek, opowiedziany bez jednego słowa! Powie ktoś — przesadne pochwały. Ba! zbyt wiele widzieliśmy filmów „gadanych”, żeby nie przesadzać w ocenie się z tego rodzaju nowości.

Scenariusz zakładał wielką różnorodność i zindywidualizowaną postać. Rzecz bowiem dzieje się wśród różnorodnej reszty ludzi, którzy przed kilku godzinami wyszli na wolność z drutów koncentracyjnego obozu. Rybkowski rozpoczął od szkół artystycznych. Z całej Polski zwiózł młodych do łagowa, gdzie nakręcano film, poprzecznie ich za Anglików. Włochów i Amerykanów i w tych kostiumach zaczął chodzić po miasteczku, studiować typy. Wydaje się, że wpłynęło to w decydujący sposób nie tylko na różnorodność, lecz rów-

Więźniowie?

W takich kostiumach, przypominających ubrania więźniów, w czapeczkach na głowach i bez specjalnych butów, grali piłkarze angielscy w końcu XIX stulecia. Na zdjęciu z roku 1881 drużyna Harrow.



Okienko na Zachód

BARDZO wdzięcznymi słuchaczami okazali się goście, którzy przybyli na przedstawienie do pewnego nocnego teatryku rewiowego w Nowym Jorku. Co wieczór występuje tam Dorothy Lampur, artystka o „atomowym głosie”, czarująca zebraną widownię piosenką „Wszystko możesz mi zabrać, tylko nie serce”. Po jednym z przedstawień okazało się, że z garderoby artystki zabrano futro popielicowe.

PODCZAS spotkania piłkarskiego dwóch miejscowych drużyn we francuskim mieście Awinionie doszło do niezwyklej sceny. Gdy jeden z bramkarzy wpuszczał dwie łatwe piłki do swej siatki, podbiegła do bramkarza pewna młoda dziewczyna — spoliczkowała go dwukrotnie i rzuciła mu pod nogi jakiś błyszczący drobiazg. Dziewczyną okazała się narzeczoną niefortunnego bramkarza, a przedmiotem — pierścionek zaręczynowy.

KILKA wozów było potrzebnych, aby odforysować olbrzymią ilość starzyny, którą znaleziono w pokoju pewnego zmarłego nie dawno 75-letniego obywatela w Bambergu (Niemcy zachodnie). Na przestrzeni 25 m² zgromadził nieboszczyk m. in.: 6 piecyków żelaznych, 7 materacy sprężynowych, 29 starych parasoli, 87 sztuk obuwia (nie do pary!) oraz trzy siedzenia kłozetowe.

W PEWNEJ gazecie londyńskiej ukazało się niedawno ogłoszenie: „W Hydeparku znaleziono sztuczną szczękę. Znaki szczególne: między zębami tkwiło cygaro”.

JEREMIAS Butterworth, obywatel z Buffalo (USA) pobili rekord szybkości podczas zwiedzania paryskiego muzeum Louvre Butterworth wszedł do muzeum o godz. 14, minut 25, sekund 36. Minął korytarze, gwizdnął z podziwu nad posagiem Wenusa z Milo, przebiegł jedną rundę dookoła bogini zwycięstwa z Samothrake, spojrzał na Monę Lisę Giocondę — Leonarda da Vinci i zdążył jeszcze zawałować: „Dziwne, co tu jest do podziwiania?” Opuścił muzeum o godzinie 14, minut 30, sekund 47.

KOMPLETNIE zaszokowane okazywały się cztery młode Angielki, gdy stały na lotnisku londyńskim, oczekując na przybycie swoich rodzin. Z samolotu wysiadł jako pierwszy, całkiem obcy dla nich, młody Francuz, zbliżył się do młodych dam, pocałował każdą po kolei, a następnie uklonił się, przeprosił i powiedział: „Panie darują, ale wszystkiemu winna jest wiosna!”.

CEKAWYMI manierami odznaczają się małpy, przebywające w pewnym południowoafrykańskim rezerwacie. Parkujące auta są przez nie stale plądrowane, panom złośliwie zwierzęta wyrwywają torebki z rąk, a panowie, wyglądający z okien samochodowych, narażają się na kłapsy, rozdzielane hojnie przez bezczelne małpy.

ZDETRONIZOWANY król egipski — Faruk, przebywający obecnie w Hollywood, poszukuje pracy, gdyż musi z czegoś żyć. Ostatnio słynny komik amerykański — George Burns, występujący w programach telewizyjnych, zaproponował Farukowi występowanie w charakterze „clowna”!

GRUPA wesołych Australijczyków (z Adelaide), wracając z wyieczki samochodowej, potrafiła na szosie kangura. Lekko podchmieleń towarzystwo załadowało nieprzytomne zwierzę do samochodu, a jeden z litościwych sprawców wypadku nałożył kanurowi swoją marynarkę. Podczas jazdy zwierzę oprzytomniało nagle, wyskoczyło z samochodu i uszło w kąt z marynarką. Znajdował się w niej portfel z zawartością 860 funtów angielskich.

Zebrał: MAK

Opis złotej rybki zamieszczony w encyklopedii chińskiej „Sanchai Tu Chui” w roku 1607.

W grudniu, ub. roku premier Chińskiej Republiki Ludowej Czu En-lai, ofiarował indyjskiemu premierowi Nehru z okazji jego 65 rocznicy urodzin szereg oryginalnych zwierząt, a między innymi również 200 czerwonych rybek z gatunku Chin-you.

Czerwone rybki, czy złote, jak kto woli, znane są od wielu tysięcy lat. Jednakże dopiero od piątego wieku naszej ery weszły one do poezji chińskiej i stały się tematem wielu klasycznych utworów. Przyjęły one nazwę „ryb ognistych” i miały służyć ludności jako „radość dla oczu i pociecha dla duszy”.

Zaczął się chyba od... karpi

Ryby Chin-you pochodzą z prowincji chińskiej Cze-kiang, położonej nad brzegami Rzeki Czerwonej. Uczeń przyrodniczy skłonił się do uważania owych gatunków za zdegenerowaną odmianę karpi, uzyskaną w drodze sztucznej hodowli. Chińczycy, którzy są niedoścignutymi mistrzami w hodowli miniaturowych drzew i pięknych kwiatów, mogą również w dziedzinie hodowli małych rybek poszczycić się olbrzymimi sukcesami, a tradycje onej sztuki sięgają aż do ósmego wieku.

Początkowo hodowcy barwnych ryb przechowywali swoje okazy w ozdobnych porcelanowych naczyniach, lecz już w roku 760 jeden z cesarzy chińskich nakazał pobudowanie basenów dla złotych rybek w 81 świątyniach na terenie Pekinu. W nowych warunkach umiłowano powszechnie ryby korzystające z wygodniejszych i naturalniejszych warunków.

Poezja Czien-te

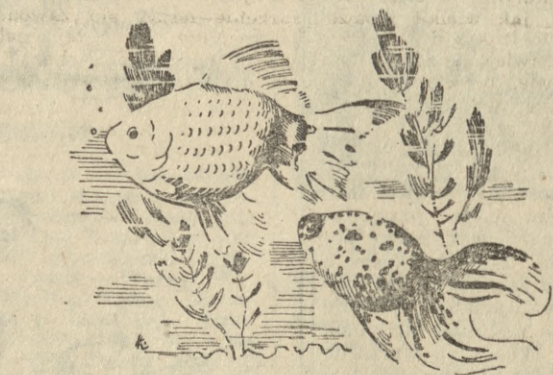
Złoty wiek dla hodowli złotych rybek rozpoczyna się w wieku XIII. Dużą rolę odegrał w jej krzewieniu pewien pisarz chiński nazwiskiem Czien-te, który sam nazywał siebie „synem rybaka mglistych chmur”. Otóż ów Czien-te poświęcał tej dziedzinie około roku 1590 całą książkę, wykładając w niej filozofię miłośników i hodowców złotych rybek. W pewnym miejscu swej książki pisze on w ten sposób:

„Leży w mej naturze miłować spokój i odsuwać od siebie to wszystko, co ciąży mi na sercu. Lubię samotność i sprawa mi niewypowiedzianą radość, gdy mogę zacerpnąć z czystego źródła wodę, aby przynieść ją purpurowym rybkom. Często przyglądam się z rozkoszą, jak podpluwają do mnie i znowu oddalają się. Przyglądając się im, nie nudzę się wcale...”

Już w wieku XVI hodowla i handel złotymi rybkami stał się w Chinach narodowym zajęciem: tak pozostało do dzisiaj. W początkach swego rozwoju, rybki składane były jako kosztowne podarki cesarzowi oraz mandarynom. Ryby te miały przynieść szczęście, przyjaźń i pokój.

Diamentowe pieczęcie

Bogatsze warstwy budują w tych czasach dla swoich rybek kosztowne baseny z marmuru i fajansu, a niekiedy nawet ze złota: często przebiegają barwne ryby w tętnie zaistniałych w kanałach kamiennych, wijących się wśród kwiatów ogrodów. Mniej zamożni i biedni przetrzymują rybki w naczyniach kamiennych lub porcelanowych. Każdy miesz-



Kariera pewnej bakterii

SERRATIA MARCESSENS (wg dawniej obowiązującej nomenklatury — bacterium prodigiosum) jest w zasadzie bakterią — bardzo niewinną. W przyrodzie występuje bardzo często. Poza dość rzadkimi wypadkami nie wpływa ona jednak ujemnie ani na organizmy ludzi, ani zwierząt, ani roślin. Nie przynosi też w lecznictwie żadnego pożytku. Wyodrębniona z bakterii rodzaju serratia antybiotyki — prodigiosina — okazała się środkiem bez praktycznego znaczenia. Pewną korzyść z serratii marcessens mają tylko mikrobiolodzy w ich pracach laboratoryjnych. Przy hodowli tzw. beztlenowców posiada czasami najpierw serratia marcessens po to, by bakterie te „wyjadły” tlen z podłoża i przygotowały go w ten sposób dla bakterii beztlenowych.

Zapewne więc o istnieniu serratii marcessens nikt by poza wąskim gronem naukowców — specjalistów nie pamiętał, gdyby nie jedna ciekawa jej cecha: bakterka ta produkuje piękny, czerwony, różnych odcieni barwnik.

W sprzyjających warunkach (odpowiednia temperatura, na wilgotność i naświetlenie) rozwijające się kolonie serratii marcessens tworzyć mogą duże czerwone nacieki, czasami żywo przypominające nacieki krwi.

Zdarzały się wypadki, że serratia marcessens usadowiała się na przedmiotach kultu religijnego: na krzyżach, wizerunkach świętych, naczyniach liturgicznych, ołtarzach. Wówczas — jakże łatwo było o „nad-

przyrodzoną” interpretację bardzo naturalnego zjawiska. Wówczas — jakże łatwo było dopatrzeć się cudu, uwierzyć w otwarcie się ran męczennika, w cudowne przesylenie krwią ołtarzów wigilijnych...

Dodajmy przy tym, że barwnik serratii marcessens nie rozpuszcza się w wodzie. Trudno więc go zmyć. Nawet ścieranie gąbkami lub szczotką nie mogło dać trwałego rezultatu; po kilku dniach czerwone plamy — kolonie rozmnażających się bakterii — zjawiały się ze zrozumiałych powodów na nowo.

Kariera cudotwórcza bakterii serratii marcessens trwała (jak świadczy o tym liczne zapiski historyczne) przez wieki. Skończyła się jednak bardzo gwałtownie wówczas, gdy uczeni spojrzeli na „cudowną krew” przez szkła mikroskopu.

Ujrzeni wówczas bakterie długości około 1 mikrona, kształtu pałeczek, czasami okragłych, rozslanych pojedynczo, rzadko tworzących krótkie łańcuszki. Dostrzegli także, iż bakterka serratia marcessens uzbijona jest w cztery rzęski i dzięki temu zdolna jest do własnego ruchu. Zbadali, że najlepiej rozwija się (ale rzecz jasna nie tylko) w temperaturze 25—30 st. C., na skrobi.

I to wszystko...

Przekreślając „cud mniemany” — ci sami uzbójcy mikroskopu bakteriologicznego dali nam jednak w zamian „cud” prawdziwy, na naukowym poznaniu przyrody oparty: penicylinę i inne antybiotyki.

MARK TWAIN

Jak kandydowałem na gubernatora

Przed kilku miesiącami wysunęto moją kandydaturę na gubernatora stanu New York z listy niezależnych. Moimi kontrkandydatami byli pp. John T. Smith oraz Blank J. Blank. Wiedziałem, że posiadają niewątpliwą przewagę nad tymi panami w postaci dobrej reputacji. Wystarczyło spojrzeć na gazety, aby dowiedzieć się, że jeśli panowie ci cieszyli się kiedyś dobrą opinią, to czasy te minęły już bezpowrotnie. Nie uległo wątpli-



wości, że mieli oni w ostatnich latach do czynienia z najbardziej podejrzanyymi i brudnymi sprawkami. Kiedy jednak cieszyłem się w cichości ducha z mojej przewagi moralnej, to z radością tą mieszało się uczucie zażenowania, że moje nazwisko wymieniane będzie jednym z nazwiskami tego typu indywiduów. Długo zwlekałem z przyjęciem kandydatury.

W nocy nie mogłem zmusić oka. Mimo wszystko jednak nie widziałem sposobu wycofania swej kandydatury. Byłem już zaangażowany i musiałem stanąć do walki. Przeglądając przy śniadaniu dzienniki natrafiłem na taką oto wzmiankę, która wytrąciła mnie całkiem z równowagi:

KRZYWOPRZYSIĘSTWO!

Może by pan Mark Twain wytłumaczyć nam dzisiaj, gdy staje jako kandydat na gubernatora przed swym narodem, jak to się stało, że w r. 1863 w miejscowości Wakawak w Kocinchinie czterdziestu czterech świadków udowodniło mu krzywoprzysięstwo, które popełnił, aby wydrzeć szmat pola bananowego z rąk nieczestliwej rdzowej malajskiej i jej bezbronnej rodziny, dla której pole to było jedynym środkiem utrzymania. Nie wątpimy, że p. Twain w interesie zarówno swoim, jak i ludu, o którego goś zabiega, zechce sprawę tę wyjaśnić jak najszybciej. Czy jednak to uczyni?

Myślałem, że pękne ze zdumienia. Cóż za okrutne, straszliwe oskarżenie. Nie widziałem nigdy na oczy Kocinchiny! Nie słyszałem o żadnym Wakawaku! Nie potrafiłbym odróżnić pola bananowego od kangura! Nie wiedziałem, co począć. Byłem oszołomiony i bezradny. Dzień minął, a ja nie zrobiłem w tej sprawie. Nazajutrz ta sama gazeta zamieściła króciutką notatkę:

CHARAKTERYSTYCZNE!

Godzi się zauważyć, iż p. Twain zachowuje się znamienne milczenie w sprawie krzywoprzysięstwa w Kocinchinie. (Np. przez cały czas walki wyborczej dziennik ten nie na-

zywał mnie inaczej, jak „Twain, ohydny krzywoprzysięzca“.) Następnie wpadła do moich rąk „Gazette“, w której przeczytałem, co następuje:

CZEKAMY NA ODPOWIEDŹ!

Może by nowy kandydat na stanowisko gubernatora zechciał wyjaśnić nam pewną sprawę. Idzie o jego współkandydatów w Montanie, którym od czasu do czasu ginęły różne drobne, choć wartościowe drobiazgi. Dziwnym trafem znajdowano je zawsze u p. Twaina. Współkandydaci byli zmuszeni udzielić mu dla jego własnego dobra przyjacielskiego napomnienia, po czym dali mu niezłą nauczkę i poradzili, aby pozostał na stałe próżniem w miejscu, w którym zwykł był przebywać. Czekamy na wyjaśnienie p. Twaina w tej sprawie.

lgarstwem. Jest rzeczą odrażającą, iż dla doraźnych celów politycznych nie daje się spokojnie ludziom nawet w grobach, obrzucając błotem ich cieżgodne nazwiska. Kiedy pomyślimy o tym, jak wiele boleć muszą podobne zniewagi rodzinę i przyjaciół, nieodżałowanego nieboszczyka, nie możemy oprzeć się chęci zaapelowania do szanownych wyborców, aby udzielili nauczki zdziżziałemu oszczercy. Ale nie! Pozostawmy go raczej na pastwę wyrzutów sumienia (choćby jeśliby szlachetniejsi spośród czytelników zadali kłamecy obrażenia cielesne, nie ulega wątpliwości, że nie znalazłby się sąd, który dąpiłby ich za ten wzniosły uczynek).

Misterne ostatnie zdanie tego artykułu wywarło taki skutek, że „najszlachetniejsi spośród czytelników“, opanowani szlachetnym oburzeniem wyrzucili mnie w nocy z mojego własnego mieszkania, łamiąc meble i okna oraz unosząc ze sobą to wszystko, co byli w stanie unieść. A jednak gotów jestem przysiąc na wszystkie świętości, że nigdy nie obraziłem pamięci dziadka p. Blanka. Więcej jeszcze, nie słyszałem o nim aż do chwili ukazania się wspomnianego artykułu.

(Nawiasem mówiąc, dziennik ten nazywał mnie odtąd „Twain, profanator zwłok“.)

Następna wzmianka, która przykuła moją uwagę brzmiała następująco:

ŁADNY KANDYDAT!

Mark Twain, który miał wczoraj wygłosić mowę na wiecu niezależnych, nie przybył wcale na wiec. Lekarz jego doniósł telegraficznie, iż p. Twain ma nogę złamaną w dwóch miejscach. Pacjent cierpi okropnie — itd. itd. i całe mnóstwo podobnych bredni. Niezależni wzięli to za dobrą monetę, teraz zaś udają, że nie wiedzą nic o prawdziwej przyczynie nieobecności tego indywiduum, które w swym zaślepieniu wybrali na kandydata. A przecież widziano wczoraj wieczorem, jak jakiś pijany osobnik zmierzał do mieszkania p. Twaina w stanie zupełnego zamroczenia. Jest obowiązkiem niezależnych dostarczyć nam dowodów, iż osobnik ten nie był p. Markiem Twainem. Narzeczcie mamy ich w ręku!

Było to fantastyczne, całkiem fantastyczne, że właśnie moje nazwisko zamieszane było w podobną sprawę. Przeszło trzy lata minęły już od chwili kiedy miałem w ustach ostatnią kroplę alkoholu.

(Już od następnego numeru dziennik ów nazywał mnie sta-

le: „Pan Delirium Tremens Twain“.)

W tym samym czasie zaczęły do mnie napływać w wielkiej ilości listy anonimowe. Treść ich była zawsze niemal jednokowa:

Jak to było z tą kobietą, którą pan pobił, kiedy prosiła o jałmużnę? Pol Pry.

Albo:

Popełnił pan szereg łajdactw, o czym nie wie nikt prócz mnie. Radziłbym więc panu przelać mi odwrotnie kilka dolarów, gdyż inaczej zrobię z tego użytek w gazetach. Handdy Andy.

To chyba wystarczy. Mogłbym cytować więcej, gdybym chciał zmęczyć czytelnika. Wkrótce potem centralny organ republikański zarzucił mi przekupstwo na wielką skalę, a centralny organ demokratyczny przytoczył „fakty“ świadczące, iż usiłowałem zyskać bezkarność w pewnych sprawkach za pomocą szantażu.

Z tej racji zyskałem dwa nowe przydomki: „Twain, brudny łapownik“ i „Twain, podły szantażysta“.

Odtąd domagano się ode mnie odpowiedzi ze wszystkich stron i z taką natężnością, że nie tylko redaktorzy, ale również i przywódcy mego stronnictwa orzekli, iż dalsze milczenie z mej strony stanie się moją zgubą polityczną. Nadmiar złego nazajutrz ukazał się w jednym z dzienników następujący artykuł:

PRZYJRZYJCIE MU SIĘ DOBRZE!

Kandydat niezależny wciąż jeszcze milczy. Robi to dlatego, że nie ma dość odwagi, aby zabrać głos. Wszystkie oskarżenia przeciwko niemu w pełni umotywowane, a swym milczeniem potwierdza on jeszcze stokrotnie ich słuszność. Niezależni, przyjrzyjcie się swojemu kandydatowi! Spójrzcie na ohydny krzywoprzysięcę, złodzieja z Montany, profanatora zwłok! Podziwianie tego deliryka, brudnego łapownika, podłego szantażysty! Zastanówcie się i powiedzcie, czy możecie złożyć wasze głosy na człowieka obciążonego tak wstrętnymi zbrodniami, który nie posiada nawet dość odwagi, aby pisać słówko w swej obronie!

Nie, dłużej nie mogłem milczeć. Zanim jednak przygotowałem „odpowiedź“ na tę potworną ilość zarzutów, jeden z dzienników zarzucił mi, że spaliłem dom wariatów, jedynie dlatego, że zasłaniał mi widok z mojego okna. To wprawdzie mnie w jakiś niesamowity lek. Zaraz potem przeczytałem zarzut, iż otrulem mego wujaszka, pragnąc zawiadnąć jego majątkiem — zarzut połączony z żądaniem ekshumacji zwłok. Omal że nie zwariowałem! Następnie oskarżono mnie, że będąc dyrektorem przytulku używałem do najcięższych robot zniechędźniących i bezczelnych staruszków. Zaczęłem poważnie się wahać, czy nie wycofać się z tej całej awantury. Na koniec jednak, jako ukoronowanie wszelkich oszczerstw, rzucanych na mnie przez przeciwników politycznych, nastąpiło zwołanie całej chmary dzieciaków różnej wielkości i maści i nakazanie im, by wolały w czasie mego przemówienia na wiecu: „Tatusi, tatusi!“.

Dałem za wygraną. Uległem. Nie dorosłem widać do wysokiego stanowiska gubernatora stanu New York. Wycofałem moją kandydaturę, przy czym tak podpisałem się na mym liście:

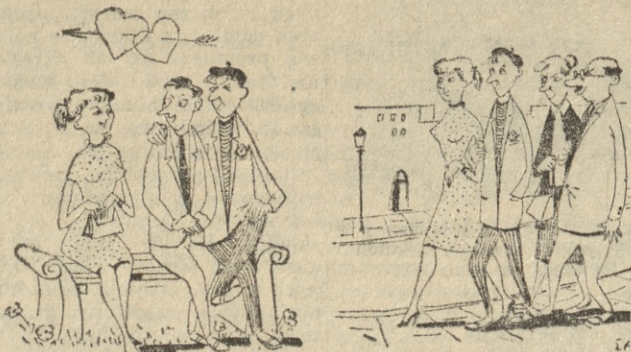
Z szacunkiem

MARK TWAIN

Niegdyś porządny człowiek, dziś ohydny krzywoprzysięzca, złodziej z Montany, profanator zwłok, deliryk, brudny łapownik, podły szantażysta itp.



Rozważania na marginesie Wścigu



Trening

Start honorowy



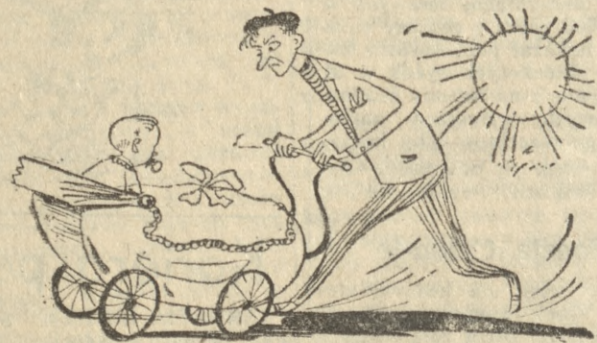
Ostry start



Zwycięstwo etapowe



Meta



Runda honorowa

Anegdoty

Marsz żałobny

Po śmierci Meyerbeera zgłosił się do Rossiniego siostrzeniec zmarłego i zagrał mu marsza żałobnego, którego sam skomponował ku czci swego sławnego krewnego.

— Jak się mistrzowi podoba mój utwór? — spytał.

— Nie mogę opędzić się wrażeniu, że byłoby lepiej, gdyby to pan umarł, a nieboszczyk, wuj pański, skomponował marsza żałobnego...

Odpowiedź chłopca

Po kilku tygodniach suszy na wiosnę roku 1779 spadł ob-

fity deszcz. Pewien dziecko rzekł z tej okazji do swego chłopca: „Oto zaiste złoto, które spada z nieba“.

— Dalibóg nie, — odparł chłop. — Bo gdyby tak było w istocie, zmusiłby mnie Jaśnie Pan, bym je zbierał dla niego.



(Eulenspiegel)

KIBIC



Początek gry

Atakują, no no...

O rany, już pod bramką!...

Strzał...

Uff, góra!

Wykop, taak...

Przerzucić na skrzydło!

Ręka, kalosz!!

Jedenastka...

Jeeest!!!